

Groźba eskalacji w konflikcie między Izraelem a Hezbollahem

Marek Matusiak

Od 8 października ub.r. równoległe do wojny w Gazie trwa wymiana ognia na pograniczu izraelsko-libańskim między armią Izraela a Hezbollahem – szyickim, proirańskim ugrupowaniem zbrojnym. Konfrontacja ta jest trwałym elementem sytuacji regionalnej, jednak jej obecna faza (najintensywniejsza od wojny w 2006 r.) wiąże się z konfliktem w Gazie. Hezbollah zapowiedział, że nie zaprzestanie ostrzałów, dopóki Izrael nie przerwie prowadzonych tam działań i nie wycofa wojsk. Władze w Jerozolimie reagują zaś asymetrycznie, atakując coraz głębiej i coraz bardziej wartościowe cele, co z kolei napotyka coraz mocniejsze ataki odwetowe ugrupowania.

Ten stan rzeczy rodzi ryzyko pełnoskalowej wojny, zwłaszcza wobec braku perspektyw na zakończenie konfliktu w Gazie, a także głosów w Izraelu wzywających do radykalnego rozwiązania problemu. W związku z ostrzałami już obecnie do 100 tys. osób po każdej stronie granicy musiało zostać ewakuowanych. Stany Zjednoczone oraz m.in. Francja podejmują wysiłki dyplomatyczne na rzecz deeskalacji napięcia, lecz nie gwarantują one sukcesu.

Komentarz

- Władze w Jerozolimie uznają, że Hezbollah, dysponujący – według szacunków – arsenałem ok. 150 tys. rakiet oraz 50–100 tys. uzbrojonych bojowników, jest najpoważniejszym zagrożeniem militarnym w bezpośrednim otoczeniu Izraela. Wpływają na to zarówno liczba posiadanych przezeń pocisków (które w przypadku zmasowanego ataku mogłyby przeciążyć izraelską obronę powietrzną), jak i fakt, że część z nich to pociski precyzyjne, co podnosi zagrożenie dla obiektów infrastruktury krytycznej. Pełnoskalowy konflikt z Hezbollahem pociągnąłby też za sobą niewątpliwie znacznie większe straty wśród izraelskiej ludności cywilnej, niż ma to miejsce w przypadku wojny z Hamasem (nie wliczając samego ataku z 7 października ub.r.). Gwałtowne zaostrenie konfrontacji z Izraelem byłoby jednak także niezwykle ryzykowne dla Hezbollahu oraz jego regionalnego patrona – Iranu. Obaj aktorzy są bowiem osłabieni zarówno wewnątrzpolitycznie, jak i finansowo.
- Pomimo ryzyk, z jakimi wiązałaby się dla Izraela otwarta wojna, po jego stronie występuje także szereg czynników, które sprzyjają eskalacji:
 - rozpowszechnione przekonanie, że wojna z Hezbollahem (teraz lub później) jest nieunikniona;

- poczucie, że stanu obecnego (tzn. takiego, w którym północna część kraju jest narażona na ostrzały) nie można utrzymywać zbyt długo, bo dezorganizuje to życie całego państwa;
 - obawa rządzących, że aktualna sytuacja może generować dla nich koszty polityczne;
 - brak pomysłu na polityczne uregulowanie wojny w Gazie, które odebrałoby Hezbollahowi powód do ataku;
 - złe notowania premiera Binjamina Netanjahu, mogące skłaniać go do działań, które ponownie – jak po 7 października – pchnęłyby społeczeństwo do zjednoczenia wokół przywództwa politycznego;
 - słabość administracji Joeego Bidena, która w przypadku izraelskiego ataku na Hezbollah byłaby zmuszona wspierać sojusznika (i de facto włączyć się do konfliktu), ale nie ma ona efektywnych narzędzi pozwalających współkształtować sytuację.
- Niezależnie jednak od rezultatu procesu decyzyjnego Izrael prawdopodobnie nie podejmie dalej idących działań przed planowaną na koniec lipca wizytą premiera Netanjahu w USA.
- W przypadku gdyby doszło do wojny na pełną skalę, istnieje duże ryzyko, że nabrałaby ona charakteru regionalnego i zaangażowała z jednej strony Stany Zjednoczone, a z drugiej Iran i proirańskie siły w tej części świata. Zarówno Waszyngton, jak i Teheran znalazłyby się bowiem pod silną presją aktywnej obrony swoich najważniejszych regionalnych sojuszników. W takim scenariuszu celem ataków mogłyby stać się nie tylko położone tam amerykańskie obiekty wojskowe, lecz także np. Cypr, udostępniający izraelskiemu lotnictwu swoją przestrzeń powietrzną i lotniska. Oznaczałoby to, że konflikt mógłby dotknąć także państwo członkowskie UE.